XXIII. Kraków, 15 stycznia 1920 r. Nr. 2



„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 kor. 40 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. — Łódź, Piotrkowska 62.

Redaktor: Konstanty Krumłowski.



— Kocham cię nad życie, moja najdroższa!.. Czy mogę liczyć na twą wzajemność?
— Pomów pan o tem z swoim ojcem!... Ci starzy panowie są wściekle zazdrośni!



Pomyłka.

Pani Kohn wybrała się do rabina cudotwórcy w Sadogórze, aby go poprosić o wstawiennictwo do Pana Boga w bardzo ważnej sprawie. Rozchodziło się o to, aby jej starsza, zamężna córka doczekała się tak upragnionego potomstwa, a młodsza znalazła męża.

Rabin wysłuchał ją łaskawie i przyrzekł pomówić o tem z Panem Bogiem...

Minął rok, pani Kohn spotyka się ze swą przyjaciółką, panią Pufeles, która ją naturalnie pyta zaraz na wstępie, wiedząc o jej podróży, czy był skutek.

— Był! — odpowiada pani Kohn. — Ale, zdaje mi się, rabin musiał się pomylić!...

— Co pani mówi? — pani Pufeles na to,

— Tąk, moja pani!... Ale niema się czemu dziwić!... Taka świątobliwa osoba, która rozmawia z samym Panem Bogiem, ma różne rzeczy na głowie i może się łatwo pomylić!...

— I cóż się stało?

— Widzi pani, moja pani Pufeles, akurat w trzy kwartały po mej bytności u rabina miała córka dziecko...

— No, cóż pani chce?... Przecież pani o to prosiła!

— Tak!... Ale nie ta, zamężna, tylko młodsza, która jest jeszcze panną!...

— Oj waj!... Ta młodsza?!... A dla drugiej prosiła pani o męża... I cóż z tem?...

— Zamężna córka znalazła sobie przyjaciela, który ją tak kocha, jak własny mąż... Ale to się mężowi znowu nie podoba...

— Żal mi pani, moja pani Kohn!... Ale sama pani sobie winna!... Musiała pani przedstawić to rabinowi nie dość jasno!...

— I ja tak myślę!...

⊙ ⊙

Przy oświadczynach.

— I pan sądzi, że potrafisz wyżywić żonę w tak ciężkich warunkach?

— Naturalnie, panie radco!... Niech mnie tak szlag trafi, jeśli córka pańska w rok po ślubie nie będzie miała zatłuszczenia serca!

⊙ ⊙

Ach ten taniec!

Znać w tem jakiś gust zachłanny,
Opatrzności prawie palec,
Że mężatki, wdowy, panny,
Ponad wszystko lubią walec!

Czem bez tańca jest karnawał?
To tak, jakby chleb bez smalcu!
Niejeden ci ujdzie kawał
Jeśli zgrabny jesteś w walcu!

Srebrne wesele.

Państwo Stefanowie obchodzili uroczyście srebrne gody, podejmując z staropolską gościnnością grono krewnych, przyjaciół i znajomych.

Po kolacyi weselnej udali się „państwo młodzi“ do sypialni, przypominając sobie, jak to było przed dwudziestu pięciu laty, gdy znaleźli się nareszcie w tym samym pokoju, zdala od ludzi..

I sprawdziło się na nich zdanie filozofa, że w noc poślubną wstydzi się i rumieni panna młoda, w dzień zaś srebrnego wesela... pan młody.

Tak było w samej rzeczy!... Pan Stefan miał dobre chęci, ale same one nie wystarczą!

Wobec tego zabijali czas rozmową.

— Powiedz mi też prawdę — pytała pani — czy zdradziłeś mnie kiedy?

Pan Stefan zaczął się namyślać, przechodził rok za rokiem, wreszcie rzekł:

— Jeśli chcesz koniecznie, to ci powiem!... Raz jeden, jedyny...

— A z kim? — badała ciekawie pani Stefanowa.

— Nie wiem, czy pamiętasz?... Służyła u nas swojego czasu Kasia. Taka ładna brunetka...

— Pamiętam!... Ja już wtedy coś podejrzywałam i dlatego bardzo rychło pozbyłam się jej z domu... Ale widzisz, stary safanduło... I nie szkoda to?... Jak ten jeden jedyny raz przydałby ci się dzisiaj!... A tak, ani wiem, że to dziś moje srebrne gody!... Oj, bieda to, jeśli się ma takiego, jak jak, męża niedołęgę!... No! Dobranoc!... Spij spokojnie, może ci się bodaj przyśni coś przyjemnego!...

Historya o wole.

(Zadanie domowe panny Loli).

Wół jest zwierzęciem bardzo pożytecznem, dostarcza nam bowiem mięsa, na którem rzeźnicy robią dobre interesy, a krowa mleka. Z mleka robi się masło i ser, albo się je sprzedaje po dolaniu wody.

Wół jest ojcem rodziny i dlatego nosi rogi na głowie, krowa matką, a dzieci cielętami. Podlotek krowi, zdatny już do stanu małżeńskiego, nazywa się jałówka. Byk jest przyjacielem domu, a tem się różni od wołu, że oprócz rogów i ogona, ma jeszcze inne ozdoby. Dawniej byki były bardzo pobożne. Jeden z nich był nawet świętym w Egipcie i nazywał się Apis. We Lwowie pokazywano Byka, który był adwokatem.

Ciało wołu i krowy składa się z głowy i ogona, a pomiędzy niemi są inne części z nich wołowi brak niektórych. Z tego powodu ma on bardzo smętny wyraz oczu. Takie same oczy ma i krowa, ale ona dlatego, gdyż się smuci, że jej dzieci nazywają ludzie cielętami i za kilogram ich mięsa płacą po dwadzieścia sześć koron. W rodzinie wołów panuje równouprawnienie. Tak z wołu, jak i z krowy mamy mięso wołowe, a skóry ich wywożą paskarze za granicę.

Wół i krowa mają po cztery nogi, aby miały czem chodzić. Mają też i inne części ciała, z których każda ma swoje przeznaczenie, naprzykład ogon, do odpędzania much.

Byk bywa bardzo popędliwy, wół ma bardzo spokojne usposobienie, aby cielęta mogły brać z niego dobry przykład.

Życie krowy jest bardzo smutne. Doją ją trzy razy dziennie, a tylko raz w roku prowadzą ją do byka.

⊙ ⊙

Nasze sługi.

Pokojówka Basia (do lokaja Franciszka): To bardzo nieładnie, że pan Franciszek wypala cygara naszego pana i wypija jego wino!

Franciszek: Tak!... Ale panna Basia musi wiedzieć, że ja zato zastępuję nieraz naszego pana w załatwianiu różnych rodzinnych obowiązków!

⊙ ⊙

Przedwczesny grabarz.

Lekarz (do kobiety gruźliczo chorej): Na taki katar płuc dobrze zrobi *Zakopane;* a jeżeli chodzi o cichą miejscowość i tani pobyt, to radzę pani *Zaryte**).

*) Miejscowość koło Rabki.

A jednak miałem racyę!

(Humoreska).

Pan radca Tymoteusz Gapski był typem urzędnika starej daty, dla którego paragraf był *alfą i omegą*, a sprawiedliwości nie mógł pojąć bez ostatecznego odwołania się do Najwyższego Trybunału we Wiedniu.

Służbista w każdym calu, który nie wahałby się ojca lub rodzonego brata zamknąć do kryminału, gdyby który z nich wszedł w konflikt z kodeksem karnym, nie mógł się pogodzić z nowym rzeczy porządkiem i, korzystając z wysłużenia pełni lat, podał się do dymisyi, żałując, że skończyły się dawne c. k. rządy, które z pewnością nie byłyby zapomniały obdarzyć go jakim orderkiem z okazyi przejścia w dobrze zasłużony stan spoczynku.

Ale przebolał ten zawód, bo i cóż było robić, choć powtarzał często:

— Świat schodzi na psy!... Prawdziwa zasługa nie bywa w nowem państwie należycie ocenianą, a to nie jest dobrze!...

Stawszy się emerytem i nie mogąc chodzić do biura, którego przez lat czterdzieści ani na jeden dzień nie opuścił, siedział pan radca w domu i zamęczał swymi wywodami prawniczymi towarzyszkę doczesnej pielgrzymki, rodzoną swą żonę, panią Barbarę. Ten sam los byłby spotkał zapewne i dzieci, gdyby nie to, że niebiosa z niewiadomych bliżej przyczyn, odmówiły państwu Gapskim potomstwa.

Nawet mysz, o ile się złapała, traktował pan radca z prawniczego punktu widzenia, wymierzał jej przepisaną kodeksem karę aresztu „za włóczęgostwo“, a następnie, po odsiedzeniu jej, własnoręcznie wypuszczał na wolność, nie szczędząc na pożegnanie ojcowskiej admonicyi.

Otóż zdarzyło się niedawno, że pan radca znalazł na ziemi obok szafy, w której pani Barbara miała swą garderobę, ołówkiem pisaną karteczkę treści:

„Kotku! A przyjdź i dziś wieczór! Zatańczymy sobie tak, jak kiedyś. W tej czarnej jedwabnej sukni było ci bardzo do twarzy! Stary idyota niczego się nie domyśla...

Całuję Cię, mój aniołku i czekam!“

Pan radca przeczytał raz i drugi, potem zastanowił się głęboko, wreszcie rzekł do siebie:

— Hm!... Nie ulega kwestyi, że ten „stary idyota“ to ja! Ale do kogo ta kartka pisana i przez kogo?... Zachodzą wszelkie poszlaki, że do mej Basi, bo ona ma czarną, jedwabną suknię, w której, jak sama mówi, jest jej do twarzy. Ja już dawno czułem, że ona mnie zdradza!... Ale z kim?... Tę rzecz trzeba zbadać, ale dokładnie a stanowczo, tak, jak ja to potrafię!... Od czegóż byłem tyle lat sędzią śledczym!

A po chwili dodał, kiwając poważnie głową:

— I teraz dopiero widzę i rozumiem, dlaczego nam niebiosa odmówiły potomstwa... Ja sobie nie mam nic do wyrzucenia, robiłem, co mogłem!... To ona ponosi winę!...

I brzydki wąż podejrzenia wśliznął się w serce pana radcy i rozsiadł się w niem na dobre.

Pani Barbara wróciła właśnie z kościoła i krzątała się po pokoju, gdy pan radca rzucił jej pytanie, obserwując bacznie, jakie ono na nią wywrze wrażenie:

— Basiu!... A lubisz ty tańczyć?

— Co ci też przychodzi do głowy — odpowiedziała — Tańce w moim wieku i przy mojem zdrowiu!

— Hm! — mruknął, a potem dodał głośno — Ale powiedz szczerze, czy nie zatańczyłabyś sobie, gdyby cię tak poprosił ktoś sercu twemu miły...

— Mój staruszku!... Odkąd przeszedłeś na emeryturę, zaczynasz gonić w piętkę!...

— Naturalnie!... Ja się wogóle dziwię, że dotąd jeszcze nie zwaryowałem, gdy mam żonę, która mnie zdradza!

— Ja... ciebie?... Nie! Ty doprawdy nie musisz być zdrów!... Może posłać po doktora?...

— Nie!... Bez doktora się obejdzie!... Na takie cierpienia doktor nie poradzi!... I trzeba mi było na stare lata dożyć takiej hańby!... I poco ja się właściwie żeniłem?

Pani Barbara zaczęła się naprawdę obawiać o zdrowie i umysłową równowagę swego małżonka, zbliżyła się więc doń i położyła rękę na jego czole.

— Rozpalone! — rzekła — A może zażyłbyś na przeczyszczenie?... To ci dobrze zrobi!...

— Precz odemnie... wyrodna!... Nie dotykaj mnie ręką, która przed chwilą może ściskała innego. O!... Ja sprawę tę zbadam, winnego znajdę, ale biada wtedy i jemu i tobie!... Choćbym miał pojechać do Rzymu, do Ojca świętego, rozwód muszę uzyskać, na podstawie paragrafu. Zaraz!... Który to paragraf?... Z czasem to się zapomina, zwłaszcza, jeśli człowiek ma tego rodzaju domowe przyjemności!...

Pani Barbara, nie mogąc zrozumieć, o co się właściwie rozchodzi, z kolei zabawiła się sama

O dzbanek mleka.

Hanka na targ szła do miasta
Droga dość daleka,
W jednej ręce buty niosła,
W drugiej dzbanek mleka.
Zatrzymał ją przy rogatce
Strażnik, chłop brodaty,
Czy przy sobie nie ma czego,
Co jest do opłaty?
Hanka — dziewka rezolutna
Idzie furt — nie pyta,
Bo co miała — to powiada,
Wolne jest od myta.
Lecz z strażnikiem nie wiedziała,
Że to nie przelewki
Poszukując kontrabandę
Zabrał się do dziewki.
Próżno Hanka prosi, wrzeszczy
Rany! puść człowieku!
Tak ci strażnik ją potrącił,
No — tak i po mleku!
Wraca tedy znowu do wsi
Zapłakana Hanka,
A do domu niesie ucho
Z rozbitego dzbanka.
Kiedy matce objaśniła
Całe swe nieszczęście,
Dobra matuś jak nie spuści
Na łeb córki pięście!
Taka bywa zawsze z ciebie
Moja korzyść cała,
Idź! niech strażnik się postara,
Żebyś mleko miała!
— Nie bijże mnie moja matuś,
Dziewczysko wrzaśnie,
A dyć strażnik przy staraniu,
Rozbił dzbanek właśnie!

Miał racyę!

— Dusza wisielca idzie po jego śmierci najpierw do czyśćca — rzekł uczeń.

— A ty z czego to wnosisz? — zapytał katecheta.

— Bo ja sobie tak myślę, proszę księdza katechety. Gdy zwyczajny człowiek umiera, to dusza wychodzi ustami, a u wisielca gardło jest zaciśnięte, więc musi ona szukać sobie innej drogi!... A że zostaje jej tylko jeden jeszcze otwór w ciele ludzkiem, którędy się może wydostać na zewnątrz, a ponieważ tamtędy musi się zawalać, zatem nic dziwnego, że potem idzie do czyśćca...

Wziął się na sposób.

Przed sędzią śledczym stanął wyrostek wiejski, oskarżony o gwałt, jakiego dopuścił się na osobie jednej z wiejskich piękności, która razem z nim pasła bydło.

Sędzia przystąpił do przesłuchania obwinionego, ale nie mógł zeń wydobyć ani słowa. Chłopak jąkał się do tego stopnia, że, gdy się raz zaciął, nie wykrztusił ani słowa.

Sędzia zatem wziął się na sposób. Kazał mu gwizdać, a wiadomo, że nawet jąkale przychodzi to z łatwością.

Na pytanie: „Jak się nazywasz?“, zagwizdał obżałowany:

— *Bartoszu! Bartoszu!... Oj ostre kosy nasze...*

Sędzia kazał zatem zapisać w protokole, że obwiniony nawywa się Bartosz.

— A jej jak na imię? — pytał dalej sędzia. Jąkała zagwizdał znowu na nutę:

— *Małgorzatko, kocham cię jak rzadko..*

— A gdzież to było? — brzmiało dalsze pytanie, w odpowiedzi zaś na nie rozległa się melodya:

— *Na zielonej łące, pytałem się jej...*

Sędzia wiedział już mniejwięcej, co mu było potrzeba, dodał jednak pytanie:

— No, a cóż ona powiedziała na to?

A jękała odpowiedział na to znaną melodyą z „Ptasznika z Tyrolu“:

— *Jeszcze raz!... Jeszcze raz! Jeszcze raz!..*

Na podstawie tych zeznań, nie znajdując powodu do dalszego dochodzenia, uwolnił sędzia obwinionego od wszelkiej odpowiedzialności karnej.



Pech.

Franio szczęście miał do kobiet
I zdobywał każde serce
Aż — nieszczęście już tak chciało,
Że zakochał się w tancerce.
Lecz jak w klubie powtarzano,
I na miasto poszła fama,
Że go będzie nieżyczliwie
Traktowała owa dama.
— Czy to prawda — ktoś go pyta —
Że z baletu Fela mała,
Mówiąc wcale bez przenośni
Drzwi mu wczoraj pokazała!?
— Tak jest! — odparł Franio na to
Pech wyznając najlojalniej —
Fela drzwi mi pokazała,
Ale drzwi — do swej sypialni!!

Przytomność umysłu.

Debiutant występował na scenie w roli kochanka, powracającego od narzeczonej.

Całe jego zadanie, od którego zależała jego przyszła karyera sceniczna, polegało na tem, że miał się ukazać z różą w ręku i odezwać się:

— Wracam od narzeczonej!...

Nieszczęście jednak, które chodzi po ludziach, nie po lesie, chciało, że róży nie było pod ręką, a na czekanie czasu nie stało...

Ale on nie stracił fantazyi, wszedł śmiało na estradę, i podnosząc same palce do nosa, odezwał się jak należało:

— Wracam od narzeczonej!...

Nagrodzono go burzą oklasków...

---

w sędziego śledczego i poddała swego męża krzyżowym pytaniom, z których się dowiedziała o wszystkiem.

— Pokaż tę kartkę! — rzekła stanowczo.

Pan radca uczynił, jak rozkazała, choć obawiał się, że winowajczyni może zniszczyć tak cenne *corpus delicti*.

Przeczytała raz i drugi, wreszcie rzekła:

— I ty jesteś zdania, że to do mnie pisane?

— Tak! — odpowiedział z jakimś uporem.

— Oj, safanduło!... Nie przypuszczałam nawet, że jesteś taki niemądry!.. I z czegóż to wnosisz, że ten kotek i aniołek to ja?

— Z owej czarnej jedwabnej sukni, o której wspomina, że ci w niej do twarzy!

— Sądzisz więc, że na świecie jest tylko jedna czarna jedwabna suknia i że tylko mnie jest w niej do twarzy!?... Oj, stary idyoto!...

— A dlaczegóż ja tę kartkę znalazłem akurat obok twej szafy, w której wisi ta suknia?... No?... To moment bardzo ważny dla śledztwa!

— Tego ja ci nie powiem, ale mogę cię upewnić, że cię tym razem zawiodła twa śledcza domyślność!... Skierowałeś śledztwo na fałszywe tory!...

— W takim razie kto pisał tę kartkę i do kogo?... Przysiągłbym, że te słowa: „ten stary idyota niczego się nie domyśla“ odnoszą się do mnie!... Bo i do kogóż?...

— No, no! Nie martw się i bądź dobrej myśli! Teraz ja ujmę sprawę w swe ręce i postaram się ją wyświetlić a jestem pewna, że mi się to uda prędzej, niż tobie, choć praw nie studyowałam i nie pracowałam przez lat czterdzieści w zawodzie sędziowskim.

— Owszem!... Spróbuj jeżeli ci się zdaje, że to tak łatwo pójdzie! Ja jednak jestem pewny, że to dotyczy mego domu, a te słowa „stary idyota“ odnoszą się do mnie!..

— Zobaczymy!...

I minęło znów kilka dni, w ciągu których pan radca śledził bacznie swą połowicę i w czasie jej nieobecności przeprowadzał nawet dokładną rewizyę domową, myśląc, że wpadnie mu w rękę jaki nowy dowód jej winy. Lecz napróżno!

I otucha że żona go przecież nie zdradza, zaczęła wstępować w jego serce, choć powtarzał sobie kilka razy dziennie:

— Hm!... Ale ten „idyota“ to nikt inny, tylko ja!...

A pani Barbara tymczasem nie próżnowała, ale na swoją rękę i nie w sposób procedurą karną przewidziany, rozpoczęła śledztwo i skierowała je w stronę Marysi, służącej, dziewczyny młodej, przystojnej i lubiącej się bawić.

I cóż się ostatecznie pokazało? Marysia pod ogniem krzyżowych pytań swej pani przyznała się wkońcu, że ta kartka była pisana do niej, przez jej byłego narzeczonego, ale to już rok temu, gdy pani bawiła u krewnych na świeżem powietrzu, a pan radca został sam na gospodarstwie.

W dalszym ciągu dowiedziała się pani Barbara, że Marysia o tyle nadużyła jej zaufania, iż pozwoliła sobie wtedy na wypożyczenie jej czarnej jedwabnej sukni, aby się tylko spodobać swemu wielbicielowi.

— A do kogóż odnoszą się w takim razie słowa narzeczonego, gdy pisał list do ciebie, że „ten stary idyota niczego się nie domyśli“

— Do naszego pana! — odpowiedziała Marysia, spuszczając oczy — Wychodziłam wieczór, gdy pan radca już się spać położył, a wracałam rano!...

— No!... Przynajmniej co do tego jednego nie pomylił się mój staruszek! — rzekła do siebie pani Barbara, z góry już przedstawiając sobie konsternacyę swego małżonka, gdy go zawiadomi o wyniku śledztwa.

Nie inaczej się też stało!... Panu radcy nie poszło to w smak, że tak nagle runął cały gmach przypuszczeń, tak misternie przez niego zbudowany, i kto wie, czy nie byłby bardziej zadowolony, gdyby był zebrał dowody, że Basia go zdradza.

Zato rozjaśniły mu się oczy, gdy pani Barbara wyłuszczyła mu znaczenie słów „stary idyota...“

Był poprostu zadowolony, że bodaj to przypuszczenie okazało się trafnem i rzekł z tryumfem:

— A jednak miałem racyę!... Ja wiedziałem, że „ten stary idyota“ to nikt inny, tylko ja!...

A pani Barbara bynajmniej nie oponowała.





— Pani chce do operetki. Czy posiada pani warunki?

— Warunki!? W tej chwili panu dyrektorowi pokażę!



Z pana chytry człowiek!... Zawsze coś robisz za mojemi plecami!



— Pomyliłeś się baronie! Droga do mojego serca prowadzi przez ołtarz!...

— Ależ ja szukam drogi do sypialni!

— W takim razie prowadzi ona przez przedpokój i ten salonik.



Cyganerya.

Ona: Gdy pełne parkiety,
To śpiewać ja lubię!
On: Lecz milsze duety
Za sceną po próbie!



Myśli światowej damy.

Mój mąż jak cień mój własny, nie odstępuje mnie nigdy — rozumie się z wyjątkiem nocy, bo wtedy cienia nie ma!



Karnawał.

Cały świat się ze mną kręci,
W sercu czuję zdrożne chęci
Jeśli pić — no to szampana,
Gdy się bawić — to do rana
Kochać — to już z całej mocy,
A gdy grzeszyć — w dzień i w nocy!



— Otóż najdroższa! jesteśmy nad chmurami? Jakie masz wrażenie?

— Czy nad chmurami, czy pod chmurami — wiem, że wrażenia nie potrafisz zrobić!



— Do kogo to?

— Czy tu mieszka artystka Rypalska?

— Wprawdzie nie jestem artystką, i nie nazywam się Rypalska, ale to nic nie szkodzi — proszę wejść.

Ferdek Eleuteryk.



Rok 1920 zaczon sie szczyńśliwie, zupełnie tak, jak poprzedni strejkiem durkorzy, którzy se pedzieli, że dotond nie spocznom, póki nie dostanom po halerzu od kuždyj litery małyj, po dwa od dużyj.

— Daj im Panie Boże zdrowie i życie, aż do samyj śmierci, a nawet jeszcze dłużyj! — tak se byłem myślońcy, bo to przecie frajda, gdy sie jest wakacyje majoncym – Majom je belfry i studenty, locygo ich nimajom być majonce i literaty?

Ale, niestety, były one wakacyje, lecz ino w niktórych durkarniach i bez krótki czas, co jednak nie wykluczajoncem jest nadzieji, że co sie nie stało teroz, stanie sie za kilka miesiency, kiedy podwyżka cennika wylezie znowu na tapet. Teroz strejki som w modzie nic tyż dziwnygo, że sie do nich już przyzwyczailiśmy, przyjmując je do wiadomości z rezygnacyjom, boć to pewne, że dobrze na nich wychodzom robotnicy, którym sie byt poprawio, niezgorzyj pracodawcy, bo im coś zawsze w dolinie ostaje, ale najgorzyj odbiorca, muszoncy to zapłacić.

Ale naród mo hopy, to niech płaci!

Najbliższy zapowiedziany strejk mają zrobić kandedaci na nieboszczyków. Pedzieli sobie, że nie bedom umirać, bo to połonczone jest z takimi kosztami, że nie kuždygo śmiertelnika stać na ten wydatek.

Naprzódzi trza wezwać doktora, aby ułatwił przeniesienie sie na tamten świat. A za to, że przyknaje do ciebie, koże se pokozać ozór, wrazi ci palec tu i tam, koże se wybulić ośmdziesiont do stu koronek, ale w dodatku co prowda, nagrypso recepkę. Z nią goń potym do aptyki.

A w aptykach, odkond kręciproszek ostoł pryzydentem ministrów w Warsiawie, to ci nasze farmazony ani nie chcą godać, takie są dumne, że majom takigo wielgiego człeka w swym fachu.

Dawnij sie godało: „Mioł ojciec trzech synów, dwu było mondrych a trzeci był aptykorzem“, a teroz sie powi: „a trzeci ministrem!“...

Choć trudno!... Jak potrza, to i aptykorz musi być mądry. Od czegóż zresztą nosi na karku makówe, a w nij mo olij, który mu czasem z nosa kapie?... Dajom tygo dowody, zbijając hopy i obdzirając ze skóry w niemiłosierny sposób żywych i mających wyciongnąć kopyta na żywot wieczny.

A jeszcze teroz to ci sie im w makówach całkiem wykopyrtło i kuždymu sie zdaje, że on jest tyż kandedatem na ministra.

Powtarzo se tyż z dumą:

— Dziś Skulski, jutro może ja!... — i staje na palicach, jeśli jest mikrnego wzrostu i przeziro sie w lustrze, cieszoncy sie z tygo, że mo takom mondrom mine, jak z przeproszyniem .. aptykorz.

Przynosisz winc recepkę do aptyki, a tu ci godajom, że bedzie kosztować ta medycyna sto trzydzieści sześć koron i osimdziesiont trzy holery.

— Rany! — łapiesz sie za wióry — A dy przed dwoma misioncami kosztowało to ino sześćdziesiont dwie korony!

— Tak!... Ale teroz jest inakszo taksa, a za jaki tydziń bedzie jeszcze inakszo!.. Zreštom kto nimo hopów, niech nie choruje, bo to i niezdrowo i dużo kosztuje...

— A kiej sie možno być zgłaszajoncym?

— Za tydziń..., abo za dwa, bo jest dużo roboty!

— A jeżeli chory tymczasem kiwnie?

— Powiedzieć mu, niech się nie spieszy!... Bo i cóż mu z tygo przyńdzie.

Dejmy na to, że i z oną medycyną jest już porządek, to jest, żeś wybulił hopy, a chory cycnął ją lub połknon, skenknoł, pier..si mu się podniesły i opadły i, jak to mówiom, przeniós sie na łono ojca Abrahama.

Teroz dopiro kłopot! Spadkobircy dzienkujom doktorowi za skutecznom pomoc i zaczynajom sie targować z pogrzybacem, który niczym krenciproszek, taki ci zestawi rachunek, że łysemu stajom wióry demba na łysinie, a gdyby go przeczytoł nieboszczyk, toby mu się wogóle odechciało umirać!

Łapiduchy kożom se teroz płacić, niczym dawnij ministry... A może i one som przy nadzieji, że i ich kolega wlezie do gabinetu, tak, jak krenciproszek?... (A jakże!... Wlezie do gabinetu, ale cheba takigo, nad którym jest napisane „Dla Panów“ – „Dla Pań“... przyp. zecera.)

I myśli kto może, że na tym już kuniec kłopotów nieboszczyka?... Dyabła tam!

Kto umarł, musi być pogrzebany, a, jeżeli nie jest na cmyntorzu kaminicznikiem, to jest, nimo własnygo grobu, musi se być mijsce kupujoncym. I teroz dopiro nie wiem loczygo sie cmyntorz jest „mijscem wiecznygo spoczynku“ nazywajoncym, skoro tam już po dwudziestu latach spokoju mu nie dajom, ale tom kwatere przekopujom na przyjińcie nowych gości.

Otóż majestrot, który ze wzglendu na wybory mo cmyntorz w swoim zarzondzie, chcąc znaliźć nowe źródło dochodów, poszukoł ich na cmyntorzu i podniósł czynsz za ten „wieczny spoczynek bez lat dwadzieścia“ i za parcele pod budowe własnych „famielijnych grobów“. Pedzieli se radce, że na cmyntorzu som wszyscy równi, niech wienc buli hopy tak „burżuj“, jak i preletaryjusz.

Do tygo dodać trza jeszce i to, że wdzinczne spadkobiercy dajom nieboszczykowi na drogę wieczności takom przyodziwe, że go wstyd stanąć na sondzie ostatecznym. Pcha sie winc kuždy pod ściane, aby zakryć swom z przeproszyniem golizne i po tem poznaje sie wojennych nieboszczyków.

Co wszystko razem zebrawszy w kupe, dońść sie musi do przyznanio racyji, że dziś sie nie opłaci umirać. Majom zatem racyje, że chcom zastrejkować, zwłaszcza, że nie bedzie to połączone z żodnymi kosztami, gdyż takie bezrobotne nie som pobirajonce żodnych zasiłków od jakijś organizacyji zawodowyj.

Na tym ich strejku wyjdom najgorzyj doktory, krenciproszki i łapiduchy. Opadnom im kantyny, a zwłaszcza ci środkowi majom pieknie zaokronglone, tak, że swym wyglondem przypominajom jedni pigułki, inni zaś czopki, które sie wkłada tam, gdzie potrza!..

Nie poznał!

Chłop ruski jest ciemny i łatwo daje się wywieść w pole, nic też dziwnego, że arendarz Jojne wycyganił od Iwasia, zamożnego gospodarza gdzieś tam ze wschodniej Galicyi, bardzo ładnego byczka.

Jojne nie wziął go, rzecz prosta, na własność, tylko .. na wychowanie i pozwolił nawet Iwasiowi, aby od czasu do czasu przyszedł odwiedzić swego ulubieńca.

Iwaś chodził też i cieszyło go, że byczek chowa się zdrowo

Ale pewnego dnia przekonuje się Iwaś że byczek gdzieś przepadł. Stroskany o jego los, pyta o to arendarza i dowiaduje się od niego:

— Widzicie, mój Iwasiu!... Ten byczek to był taki mądry, że mi go było żal trzymać tutaj na wsi między takimi chamami!... Ja go odesłałem do Lwowa i oddałem go tam na naukę... On będzie adwokatem!

Iwasiowi się to jakoś w głowie pomieścić nie mogło, ale uwierzył, bo i jak tu nie wierzyć takiej mądrej osobie, jak Jojne...

I chodził dalej do karczmy, aby się dowiadywać o losach swego wychowanka, a Jojne opowiadał mu, jak się byczkowi we Lwowie dobrze powodzi, że już wyrósł na byka i czekać tylko, rychło zostanie adwokatem.

Początkowo wystarczało Iwanowi to opowiadanie, ale niedługo opanowała go taka tęsknota za ulubieńcem, że postanowił wybrać się do Lwowa, aby go zobaczy.

Nic o tem nie powiedział Jojnie, nie żądając od niego żadnych wskazówek, pewny, że we Lwowie łatwo się o niego chyba dopytać.

I tak się też stało, gdyż w tym czasie miał tam bardzo prosperującą kancelaryę adwokacką dr. Byk. Na zapytanie o byka, który jest adwokatem, wskazano mu adres, sądząc, że to jakiś klient z prowincyi.

Udał się tam natychmiast, ale nie chciał z nikim innym mówić, tylko, jak ciągle powtarzał, ze swym bykiem, bo on po to ze wsi przyjechał... Wiedząc, że Rusin jest uparty, zrobiono, czego żądał i zaprowadzono go przed oblicze pana mecenasa...

Stanął przed nim, patrzy i oczom nie wierzy... Ten, którego ma przed sobą, zupełnie do człowieka podobny...

— *To je byk?...* — pyta pisarza, który mu towarzyszył.

— Tak!... — odpowiada zagadnięty i to tak przekonująco, że Iwaś uwierzył, iż to jego pupil, ale zmieniony do niepoznania pod wpływem lwowskiej edukacyi.

I spojrzał nań z czułością, przypominając sobie wieś i wspólnie przeżyte lata, a wyciągając przed siebie rękę z garścią siana, które ze sobą przywiózł, rzekł z pewnym wyrzutem:

— *Bysiu!... To ty mene ne piznał?...*



Nie bądź upartą.

Ta dziewczynka nic nie warta
Co jak ciele jest uparta!
Cesia ma szesnasty roczek
Znać to już dziewczynie z oczek
Znać to dobrze nawet z liczka
I znać wreszcie z pod staniczka
Gdy się tato
Patrzy na to
Mówi do niej: Słysz, co mówię!
Ciężkie czasy teraz mamy
Chcesz, to się zapytaj mamy
Trzeba sprawić ci obuwię
I sukienki i pończochy
Pomóżże rodzicom trochy!
Jesteś młodą, jesteś ładną
A pomocą dla nas żadną.
Idź do miasta
No i basta!
Również jej tłómaczy mama:
„Moja Cesiu, przyznasz sama,
Że tatkowi i mamusi
Dobra córka pomódz musi.
Ja w tym wieku — mam być szczera
Nie jednego kawalera,
Ale trzech ich miałam przecię,
Wierz mi starej, moje dziecię,
I rób tak, jak dawniej matka!
Gdym poznała twego tatka
To już miałam grosz w kieszeni
Z biedną panną — któż się żeni?“
Ale Cesia — dziewczę głupię
Na mateczkę nogą tupię
I powtarza (przebacz Panię!)
Że uczciwą pozostanię!
Nie ma na nią już sposobu...
Mama z żalu
Do szpitalu
Tata — drała
Do Michała
A oboje wnet do grobu!
Lecz los skarał złą dziewczynę
Cesia wyszła za szewczynę
Co pocięglem grzbiet jej łupię...
Co uparte — to i głupie!

Znalezione przez pana Jana Paska i do Redakcyi naszej nadesłane 50 kor. — przeznaczamy na fundusz restauracyi Wawelu.

Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Aczkolwiek nie lubię robić z gęby cholewy i na wiatr słów nie puszczam, nie zawsze mi się uda wywiązać z danego przyrzeczenia. Tak stało się i obecnie! Zapowiedziałem powrót do Krakowa, tymczasem wyższe względy kazały mi pozostać za granicą.

Ex-cesarz Wilhelm zatrzymał mnie dłużej u siebie, roztrząsaliśmy bowiem kwestyę, jak ma być załatwioną sprawa wydania go przez Holandyę sądom koalicyi. Ostatecznie stanęło na tem, że się przed trybunał zjawi, ale zastrzega sobie wybór miejsca i oznaczenie czasu. A uczynił to za moją radą, gdy mu opowiedziałem o owym Amerykaninie, skazanym na śmierć, który korzystając z obowiązującego w Stanach Zjeonoczonych prawa, że skazańcowi wolno sobie wybrać drzewo, na którem ma dokonać żywota, wskazał krzaczek, zaledwie od ziemi odrosły i długo jeszcze żył spokojnie i szczęśliwie, czekając, aż wyrośnie w potężne drzewo.

Otóż to się Wilhelmowi bardzo spodobało i postanowił pójść w jego ślady. Sam wyznaczy czas sądu, wskaże zaś jakiś termin pierwszorzędnego znaczenia, dajmy na to, następny powrót komety Halleya, na co czekać trzeba jeszcze około siedmdziesiąt lat.

Zupełnie podobnie będzie z miejscem sądu. Wybierze miejsce, gdzie sądu dotąd niema i trzeba go dopiero kreować, a to tak prędko nie idzie, jakby kto przypuszczał. Tymczasem można się spodziewać prawdziwego końca świata, zanim dojdzie do porozumienia, jak, gdzie i kiedy.

Że Wiluś do stawania przed sądem nie ma ochoty (choć mógłby się tam wygadać za wszystkie czasy!...), to rzecz pewna, ale też z drugiej strony jest aż nazbyt widoczne, że i koalicya będzie bardzo zadowolona, jeżeli go tam nie zobaczy. A że się tam zwłaszcza Lloyd George odgraża, że go musi zamknąć, to tylko tak sobie, dla pokazania światu, że sprzymierzeni postawią na swojem.

Na pożegnanie obdarzył mnie Wiluś flachą likieru amsterdamskiego i krążkiem prawdziwego Eidamera własnej roboty, jak mi mówił: „Z mleka mojej żony!"... ponieważ ma ona w Amerongen kilka bardzo rosłych krów, rasy, jeżeli się nie mylę meklemburskiej. Wilusiowa dała mi zaś na pamiątkę jedną skarpetkę, obiecując drugą przy najbliższem widzeniu.

Ogromnie się spodobał obojgu mój plan najnowszy. Mam mianowicie zamiar założyć „Towarzystwo dymisyonowanych" (T. D. coś w guście krakowskiego „Tańcuj dziadu!"), do którego mogliby należeć jako członkowie zwyczajni cesarze, królowie i książęta, pozbawieni swych koron i tronów, a żyjący jeszcze. Nieboszczyki mogliby być jedynie członkami honorowymi.

Celem towarzystwa onego jest niesienie materyalnej i moralnej pomocy swym członkom, a na to fundusze czerpie się z opłat, jakie wpływają do kasy za udział byłych panujących w weselach, chrzcinach i pogrzebach.

Jestem pewny, że nawet niejeden łyk krakowski, który na wojnie dorobił się majątku, z gustem zapłaci i po tysiąc koron od sztuki i da im porządnie zjeść i wypić, aby tylko potem napisano w „Wiadomościach osobistych", że srebrne gody jego zaszczycili obecnością: były cesarz Karol, arcyksiężna Gorgonzola i książę Henryk Reus XXXV z linii średniej.

Wiluś chciał już z góry złożyć wpisowe, choć statut nie jest jeszcze zatwierdzony. Czeka z tem na Ligę Narodów, ale jej się także nie spieszy.

Jak się z dobrze poinformowanego źródła dowiaduję, koniec świata został odłożony na żądanie Rady Najwyższej, ale bynajmniej nie z tego powodu, aby Niemcy miały czas do podpisania traktatu wersalskiego, lecz ze względu na sąd ostateczny, który z końcem świata stoi w jak najściślejszym związku. Uczyniono to dla zdrowia ś. p. nieboszczyków, którzy w zimowej porze musieliby się stawić na dolinie Józefata. Wiadomo zaś, że dziś, z powodu braku artykułów odzieżowych, zmarłych grzebie się w bardzo niekompletnej toalecie, co wobec zapowiedzianych na ten czas mrozów, mogło bardzo niekorzystnie wpłynąć na stan ich zdrowia, a co najmniej skończyć się na silnym katarze. A ładny to byłby „wieczny spoczynek i grobowa cisza", gdyby nieboszczyki zaczęli kichać na wyścigi. Mniejsza to przyjemność stawać w takiej porze na publicznem miejscu i w tak licznem towarzystwie z gołym.. z przeproszeniem ...grzbietem!

Nie było zatem trąbienia archaniołów na sąd ostateczny, zato ja z radości wytrąbiłem za zdrowie pana Porty ową flaszkę likieru holenderskiego, życząc mu (Porcie, nie likierowi!...), aby się częściej tak mylił.

Wracając z Holandyi, miałem zamiar odwiedzić Karolka w Szwajcaryi. Dałem się jednak spokój, zwłaszcza, że mi powiedziano, iż go w domu nie zastanę, gdyż łapie na wilię ryby w jeziorze Genewskiem. Dziwi mnie bardzo, że znajduje w tem przyjemność on, który tak wody nie lubi!... Ale trudno!... Zytka kazała, a jej się sprzeciwić nie wolno!

W drodze, gdy już zaczynałem się kierować w stronę Krakowa, otrzymałem zaproszenie na święta Bożego Narodzenia od Nikity, emerytowanego króla czarnogórskiego.

I kto wie, czy nie byłbym z niego skorzystał, gdyby nie to, że staruszek, zapewne w pospiechu, zapomniał wskazać swój adres i nie dodał, czy święta obchodzi według nowego, czy starego stylu.

A wielka szkoda!... Z osobistego doświadczenia wiem, że gościom swym nie żałuje ani jedzenia, ani picia, a takie gościnne domy należą dziś do rzadkości.

Równocześnie pisał do mnie Wilson, Lloyd George i Clemenceau.

Wilson rad byłby widzieć mnie na wigilii u siebie w Waszyngtonie, ale zastrzegł się z góry, że, ze względu na zakaz używania alkoholu, tegoroczne święta będą bardzo suche; wiadomo zaś, że „ryby, grzyby, ksiądz i wieprzowina — potrzebują wina", jak śpiewa poeta.

Wilia bez ryby, to nie wilia, ryba zaś bez wódeczki przed, a winka „po", to choroba, jeśli nie śmierć. A, że mi życie miłe, zwłaszcza, że krakowski magistrat podniósł ceny miejsc „leżących" na cmentarzu, zostałem w Europie, gdzie wprawdzie jest bieda, ale bodaj można się urżnąć ze zmartwienia.

Clemenceau proponował mi przybycie do Paryża bodaj na kilka dni, obiecując się, że polityki ani tkniemy, ale zato zabawimy się,co się zowie. Ładna mi zabawa — pomyślałemsobie — w towarzystwie starego piernika, będącego dziś jedynie honorowym członkiem rodzaju męskiego. Zrezygnowałem zatem i z tego projektu, wybrałem się natomiast do Londynu na Sylwestra, jak sobie tego życzył Lloyd George, zaznaczając z góry, że o polityce nie zapomni. Premier zaprosił delegata bolszewickiego, Finkelsteina-Litnnowa i Petlurę. Pierwszy wymówił się względami rytualnymi, Nowy Rok obchodzi bowiem we wrześniu, nie w styczniu, drugi niepewnością położenia.

W Anglii bawiłem się dobrze, piłem angielską gorzką, porter angielski, jadłem angielskie cukierki i pieprz angielski, przylepiłem sobie plaster angielski, nie chorowałem jedynie na angielską chorobę, a to dlatego, że już jestem na nią za stary.

Omówiliśmy przy tej sposobności kwestyę naszych wschodnich granic. Jak wspomniałem, Lloyd George decyduje się oddać nam Galicyę wschodnią nie w arendę, ale w posiadanie (aż do czasu, dopóki planu nie zmieni!...) pod warunkiem, że: 1) nafta borysławska dostanie się Anglikom, 2) handel i przemysł polski pójdzie pod ich kontrolę i 3) zrobimy porządek z ro syjskimi bolszewikami, ale w ten sposób, aby na tem nie ucierpiały angielskie interesy.

Gdy zaznaczyłem, że wobec tego musimy się spodziewać pomocy od koalicyi, nasi żołnierze walczą bowiem często o głodzie i o chłodzie, zauważył, że przecież Paderewski zaopatrzył ich w buty i kominiarki.

— To jednak mało — oświadczyłem. — Taki strój mógłby wystarczyć gdzieś na Saharze, ale nie na północy, gdzie wiaterek wieje, co się zowie, a same buty i kominiarki bez innych części garderoby nie starczą! Zresztą tylko co drugi ma buty, co drugi kominiarkę!... W pierwszej chwili miał każdy dostać po jednym bucie, ale zamiar zmieniono!

Przyrzekł, że się nad tem zastanowi i postara się złemu zaradzić.

Oglądaliśmy tu lokomotywy, które poróżniły Paderewskiego z Bilińskim. Zupełnie takie, jak nasze, tylko gwizdają jakoś ochryplej. Widocznie są silnie zakatarzone z powodu ciągłej mgły, jaka tu panuje. W jasny dzień można sobie na ulicy nos rozbić, a zaczepienie własnej żony na „sztrychu" należy do zdarzeń codziennych i nikt sobie z tego nic nie robi.

Mnie się coś podobnego nie zdarzyło, ale to tylko dlatego, że nie mam żony. Mam natomiast katar i to tak uporczywy, że choć nabawiłem się go jeszcze w roku ubiegłym, dotąd się go pozbyć nie mogę. Ponieważ zaś spotkało mnie to w Anglii, kto wie, czy w drodze dyplomatycznej nie będę za to musiał żądać odszkodowania!

Gdyby nie ten katar, wszystko byłoby w porządku!... Ale ja z tego wyrosnę... Cierpiałem nie na takie katary, a nie dałem się im, więc i z tego się śmieję, radząc P. T. Czytelnikom, by zrobili tak samo, gdy się znajdą w podobnem położeniu!

Pokłon głęboki — na wszystkie boki!

Klapa.

P. S. W ostatniej chwili dowiaduję się, że poczciwy czarnogórski Nikita ciężko zaniemógł. Atak apoplektyczny w tym wieku, to nic przyjemnego. Mam go o tyle na sumieniu, że, kto wie, czy jednym z powodów nie był zawód, jaki mu zrobiłem, nie odpowiadając nawet na zaproszenie. Szkoda, że posada po nim nie jest do obsadzenia!... Być może, byłbym się znalazł między kandydatami!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Karczmarskiego.



Wiatr i miłość mają coś wspólnego: odsłaniają to, co przed wzrokiem się kryje!